

Józef Bachórz*
Uniwersytet Gdański

LIST DO UCZESTNIKÓW KONFERENCJI

Wielce Szanowna i Wielce Zasłużona Pani Profesor, nieoceniona Orędowniczko współpracy kultur sąsiednich narodów, a „po mojemu” – Droga i Miła Świetoczk!

Nie przyjadę niestety na ponętne dni konferencyjne do Grodna, bo coraz bardziej wydłużają mi się drogi, którymi chadzam (czyli coraz mnie marniej nogi noszą), ale sercem i wspomnieniami będę znad Zatoki Gdańskiej w dniach 27 i 28 października uciekał do znajomych mi ludzi i miejsc w gmachu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Państwowego im. Janki Kupały. Tym żarliwiej i ochotniej będę uciekał, że ze sławnym nadniemeńskim miastem i jego okolicami łączy mnie wiele dobrych wspomnień. Jest to przecież kraina pamiętna urodzajem twórczości literackiej, a dla mnie – są to strony nie tylko bliskie mi utworami literackimi, ale także życzliwymi znajomymi i przyjaciółmi różnych narodowości, których widowym i syntetycznym symbolem jesteś Ty – prof. Swietłana Filipowna Musijenko.

Szczególnie serdeczne związki łączą mnie – jak wiesz – z powieścią *Nad Niemnem* Orzeszkowej, której opracowania podjąłem się wskutek sugestii czy nawet nalegania Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Ze sporym wahaniem podjąłem się tej pracy, bo choć doceniałem tę powieść, to jednak za nieco sztuczne uważałem jej niektóre partie dialogowe. Wiele lat pracy dydaktycznej upewniało mnie, że także moi uczniowie i studenci woleli Sienkiewicza i Prusa niż Orzeszkową, choć wśród studentek w latach ostatnich powiększała się liczba zwolenniczek *Nad Niemnem*. Przed podjęciem się – mimo tych wahań – opracowania koronnej powie-

* List prof. Józefa Bachórze (UG, Gdańsk) przesłany do Grodna na ręce prof. Swietłany F. Musijenko, odczytany w dniu inauguracji Konferencji: 27 października 2016 roku.

ści Orzeszkowej – a było to około roku 1994 – pojechałem do Warszawy do prof. Edmunda Jankowskiego, który ściągał do IBL-u wszystko, co dotyczyło Orzeszkowej, wydawał jej dzieła (także *Nad Niemnem*) i nikt w Polsce nie wiedział o niej więcej niż on. A widywałem go na zebraniach w IBL-u – zawsze starannego, uważnego i grzecznego – i ośmieliłem się spytać: „Czy jest i gdzie jest rękopis *Nad Niemnem*?”. Odpowiedział: „Nie wiem, ale chyba przepadł we wojnę”. Ale po powrocie do domu postanowiłem – bez wiary w pozytywny skutek – zatelefonować do pani Haliny Gacowej, podówczas emerytki, o której wiedziałem, że pracuje nad tomem „*Nowego Korbuta*” poświęconego Orzeszkowej. Sekretariat IBL-u bez problemu podaje mi numer jej domowego telefonu – natychmiast telefonuję z pytaniem o ten rękopis – i słyszę: „Rękopis *Nad Niemnem* znajduje się w kolekcji rękopisów Biblioteki Narodowej przy pl. Krasińskich – подарowany Bibliotece przez Zofię Prószyńską. Wziąwszy urlop z uczelni, nazajutrz stanąłem w Warszawie, upewniłem się, że rękopis istnieje rzeczywiście i że można go wypożyczyć do czytania w Bibliotece UG – szczęśliwy wróciłem do domu...

Mniej więcej pół roku wcześniej miałem sposobność podczas krótkiego pobytu w Grodnie pojechać do Bohatyrowicz, ale teraz moje niespodziewane zadanie wydawnicze sprawiło, że kolejna podróż do Bohatyrowicz i Miniewicz stała się nieodpartą potrzebą. Odbylem tę podróż dzięki moim gościnnym Gospodarzom grodzieńskim przy okazji służbowego pobytu na Uniwersytecie Grodzieńskim. Gospodarze ci uznali, że trzeba mi pomóc: za wstawieniem prof. Musijenki prof. Gabrusiewicz, Białorusin, zawiózł mnie swoim samochodem do miejsc akcji *Nad Niemnem*. Dobrze znał te strony, toteż bez dopytywania się o drogę dotarliśmy do Bohatyrowicz, do Miniewicz i do Łunnej, przedtem nigdy nie widzianej przeze mnie, gdzie jest parafialny dla Bohatyrowicz kościół i cmentarz. Topograficzne i pejzażowe motywy z tej podróży bardzo mi się później przydały do objaśnień i komentarzy nadniemeńskiej powieści Orzeszkowej.

Ale przygodą dla mnie niespodziewaną i przeżyciem pamiętnym okazały się rozmowy z mieszkańcami Bohatyrowicz. Po wyjściu z samochodu poszedłem przez wioskę bez przewodnika, upewniając przedtem prof. Gabrusiewicza, że nie zabłądzę, bo wiedziałem, że to wioska niewielka. Prof. Gabrusiewicz zgodził się nie bez powątpiewań. Poszedłem, a on został na skraju Bohatyrowicz z kilkoma tutejszymi znajomymi. Poszedłem ścieżką między zabudowaniami (domami, stajniami, stodołami, świronami) ku jarowi na krańcu wioski. Przebrnąłem ten jar w poprzek, stanąłem na skraju pół przed znajomym mi z fotografii grobem Jana i Cecylii, i patrzę na krajobraz jakby trochę późniejszy. W nieodległej oddali (jakieś 150 m) widzę dwie kobiety:

jedna niesie jakiś tobołek na plecach, druga ma kosę przrzuconą przez ramię. Przystają. Ta z kosą – kilkunastoma zamachami ścina coś na ścierniku, a ta druga zbiera na tym posieczysku „urobek” do tobołka – chyba poplonową seradelę. Zauważyły mnie. Pomalutku idą w moją stronę. Ze dwadzieścia kroków ode mnie przystają. Są w moim wieku – wyglądają na zaciekawione, a ja jestem ciekaw ich ciekawości, choć wiem od dzieciństwa, że we wsi zawsze kobiety są ciekawe przybyszów – nawet i w takich wsiach jak tutejsza, gdzie turystów nie brak. By ułatwić sobie sytuację kontaktową, pytam po polsku: „Co to, chłopów nie macie, że z kosą na pole?”. Ta z kosą odpala żartem: „Ano nie mamy – tu o chłopów trudno. A wy – chłop, to zamiast przygadawać, może by wzięli się za kosę? Potraficie?”. Ja na to: „Popróbiję”. Popatrzyła z ironicznym niedowierzaniem. Pytam, czy mają osełkę. Miały. Kilka razy przeciągnąłem osełką po ostrzu, potem kosą po tej chyba seradeli. „Widać, że potraficie. A skąd wy?”. Mówię – skąd ja... I rewanżuję się pytaniem: „A wy – dlaczego z kosą, i co z tymi waszymi chłopami?”. I tu ze zdziwieniem dowiaduję się mnóstwa informacji o tym, „dlaczego?” – i co z tymi ich chłopami. I oto niespodziewanie zawiązuje się rozmowa, która niczym nie przypomina gadania półgębkiem – rozmowa autentycznie zostająca w pamięci jako wyraz wzajemnej ciekawości interlokutorów i zarazem intencji niezadowolonego powiedzenia tym interlokutorom czegoś o sobie i swoich sprawach. A więc tu się naprawdę tak gada jak w powieści Orzeszkowej? Gada się trochę tak, jak gdyby się przemawiało?...

Potem także już i w Grodnie z okazji bytności w następnych latach – upewniałem się na kilku nieoficjalnych spotkaniach towarzyskich w uczelni i w domach, że mówienie pełnymi zdaniami i wypowiedzanie się obszerniejsze – kilkudzaniowe, należy do zwyczaju tutejszego. Jednowyrazowe odezwania się: „tak”, „nie”, „może” – też bywają potrzebne, ale nie słyszałem trudnych do zapisania mruknięć. Tu się gada o wiele staranniej i jakby chętniej niż u nas, w Polsce. I obszerniej. I w ogóle rozmawianie jest w cenie. Wojskowe komunikowanie się i lapidarne rozkazywanie oraz mrukowatość nie należą do *bon-ton'u*. Tu *bon-ton* wymaga staranności.

Na tym tle stawały mi się coraz bardziej zrozumiałe, bo przynależne do kultury tutejszej, takie sytuacje w dialogach powieściowych w *Nad Niemnem*, w których rozmówcy perorują do siebie jakoś oratorsko. Oczywiście nie wszyscy i nie w każdej sytuacji. Ale już w pierwszym rozdziale tomu I Marta Korczyńska w drodze z kościoła parokrotnie tak się odzywa do Justyny, jak gdyby przemawiała. W którymś z rozdziałów następnych Benedykt Korczyński i jego żona Emilia replikują sobie awzajem w tyradowo-teatralnej „dykcji”. Nie wiem, czy mam rację, ale podczas moich dzisiejszych powrotów do *Nad*

Niemnem słyszę echa tamtejszego – nadniemeńskiego rozmawiania. I w tym, co kiedyś wydawało mi się nieco sztucznym, literackim stylizowaniem dialogów – teraz bym był skłonny słyszeć daleki odgłos faktycznej rzeczywistości językowej tamtego regionu i tamtego czasu. Nie wiem, czy mam rację, toteż rad będę Twojej – Swietoczka Miła – opinii i Twojego zdania w tej materii przy naszym kolejnym spotkaniu w Gdańsku.

Serdecznie, bardzo serdecznie Cię pozdrawiamy z Sopotu

– M. i J. B.